

Horla



GUY DE MAUPASSANT

Horla

TLUM. ZYGMUNT NIEDŹWIECKI

8 maja — Co za cudowny dzień!... Spędziłem całe rano wyciągnięty na trawie, przed domem, pod ogromnym platanem, który go przykrywa i ocienia w całości. Kocham ten kraj i lubię w nim przebywać, ponieważ tu tkwią moje korzenie, te głęboko wpite i delikatne korzonki, co łączą człowieka z ziemią, na której urodzili się i pomarli jego przodkowie, co go wiążą z miejscowym sposobem myślenia, mówienia i odżywiania się, z obyczajami i gwarą ludową, z zapachem ziemi, domów a nawet powietrza.

Kocham mój dom, w którym wzrosłem. Z mych okien widzę Sekwanę, płynącą wzdłuż mego ogrodu, zaraz za drogą, prawie że u mnie, Sekwanę głęboką i szeroką, zdążającą z Rouen do Hawru, przepelnioną statkami.

Tam, na lewo, widać Rouen, duże miasto o sinych dachach, u stóp tłumu kolczatych wieżyc gotyckich. Jest ich bez liku, smukłe i rozsadziste, wysoko ponad wszystkimi żelazna iglica wieży katedralnej, w nich dzwony, grające w błękitach pięknych ranków, ciskające aż do mnie swoje żelazne dźwięki, złagodzone oddalą, i swe spiżowe śpiewy, które mi wiatr przynosi to mocniejsze, to słabsze, w miarę tego czy powiew jego wzmaga się lub cichnie.

Jakiż to był rozkoszny poranek!

Około godziny jedenastej długi sznur okrętów, z małym jak mucha statkiem holowniczym na czele, który charczał z wysiłku i wyrzucał kłęby gęstego dymu, przesunął się przed memi sztachetami.

Po dwu angielskich dwumasztowcach z wzdymającymi się na tle nieba szkarłatnymi pawilonami, przepłynął wspaniały trzymasztowiec brazylijski, cały w bieli, przedziwnie czysty i lśniący. Skłoniłem mu się, nie wiem czemu, tak mi się spodobał od pierwszego wejrzenia.

12 maja — Od kilku dni mam małą gorączkę; jestem cierpiący a raczej przygnębiony.

Gdzie może być źródło tych tajemniczych wpływów, co przepelniające nas uczucie szczęścia ni stąd ni zowąd obracają w zniechęcenie a ufność naszą zmieniają z nagłą w rozpacz. Rzekłbyś, że powietrze, niewidzialne powietrze, roi się od niezbadanych mocy, których tajemnej bliskości podlegamy. Budzę się rozradowany, śpiewać mi się chce. — Dlaczego? — Puszczam się na przechadzkę brzegiem rzeki, naraz posepnieję i zabieram się z powrotem, jakby mnie w domu oczekiwało nieszczęście. — Dlaczego?... — Czyżby dreszcz zimna, musnąwszy mi skórę, szarpnął mnie za nerwy i zasepił mi duszę?... A może to kształt chmur lub kolor światła, zabarwienie przedmiotów, pełne takiej różnorodności, przemykając przed memi oczyma, myśl we mnie zachmurzyły?... Jestże to komukolwiek wiadomem?... Wszystko, co tylko nas otacza, wszystko, co dokoła widzimy, nie patrząc, o co się ocieramy, nie wiedząc o tem, wszystko, czego dotykamy, nie wyczuwając, i czego nie umiemy nawet rozróżnić, napotkawszy, wywiera może na nas, na nasze organa, a przez nie na myśli, na serce nawet nasze, wpływ szybki, zadziwiający i niewytłómaczalny.

Jakże głęboką jest tajemnica Niewidzialnego!... Nie jesteśmy w stanie jej zbadać za pomocą nędznych zmysłów naszych: naszemi oczyma, co nie umiemy dostrzedz ani rzeczy zbyt wielkich ani zbyt małych, ani na zbyt krótką ani na nadto daleką metę ani mieszkańców gwiazd, ani mieszkańców kropli wody...; naszemi uszami, które nas mamią, ponieważ przerabiają dla nas wibracje powietrza na nuty brzmiące...; powonieniem naszym, słabszem od węchu psa...; smakiem naszym, zaledwie zdolnym rozróżnić wiek win!

Ach! gdybyśmy posiadali inne organa, zdolne dokazywać cudów na nasz pożytek, ileż to rzeczy moglibyśmy podówczas odkryć dokoła nas!

16 maja — Stanowczo, jestem chory! A tak doskonale się miałem ubiegłego miesiąca! Mam silną gorączkę a raczej uległem jakiemuś gorączkowemu zdenerwowaniu, w którym ciało i dusza moja w równym cierpią stopniu. Nie opuszcza mnie ani na chwilę straszne uczucie grożącego mi niebezpieczeństwa, jakby strach przed nadchodzącym nieszczęściem, czy zbliżającą się śmiercią; przecucia te mają niewątpliwie swe źródło w chorobie, która się jeszcze nie objawiła, ale kielkuje już w ciele i krwi.

18 maja — Byłem radzić się lekarza, bo nie mogę sypiać. Znalazł u mnie przyspieszone tętno, rozszerzenie źrenic, przedrażnienie nerwowe, żadnych jednak objawów niepokojących. Mam brać natryski i zażywać bromek potasu.

25 maja — Żadnej zmiany! Stan mój jest dziwny doprawdy. W miarę zbliżania się wieczoru ogarnia mnie niepojęty niepokój, jak gdyby noc kryła dla mnie jakąś strasliwą groźbę. Spożywszy obiad szybko, próbuję czytać; nie rozumiem jednak wyrazów, ledwie rozróżniam litery. Zaczynam tedy chodzić po salonie wszcz i wzdłuż, z nieokreśloną a nieprzepartą obawą snu, obawą łóżka.

Okolo godziny dziesiątej idę na górę, do mej sypialni. Skoro tylko wejść, zamykam drzwi natychmiast na dwa spusty i zasuwam rygle... Lękam się... czego?... Nie bałem się niczego po dziś dzień!... Otwieram szafy, zaglądam pod łóżko, wyteżam słuch... za czym?... Nie dziwneż to, aby drobna niedyspozycja, jakaś nieprawidłowość w cyrkulacji krwi może, rozdrażnienie jednego nerwowego włókna, mała kongestia, niewielkie zaburzenie w tych tak niedoskonałych i tak delikatnych funkcjach naszej maszyny życiowej — mogło zrobić melancholikiem najweselszego z ludzi, tchórzem — nieustraszonego?... Następnie kładę się do łóżka i czekam snu, jakbym czekał kata. Oczekuję nań, bojąc się równocześnie jego przybycia; serce mi przytem bije, nogi drżą a całe ciało nie przestaje ani na chwilę trząść się w ciepłe pościeli, dopokąd nie zapadnę naraz w sen, jak się zapada w wodę ktoś, co się pragnie utopić. Nie czuję dzisiaj — jak niegdyś — zbliżania się snu-zdrajcy, co zaczaiwszy się tuż koło mnie, czatuje na chwilę, kiedy będzie najdogodniej schwycić mnie za głowę, zamknąć mi oczy, unicestwić...

Śpię — długo — dwie do trzech godzin, a potem zaczynam śnić — nie — zmo-
ra mnie dusić zaczyna. Czuję doskonale, że leżę i że jestem uspiony... czuję to, wiem o tem... Lecz czuję także, że ktoś się do mnie zbliża, przypatruje mi się, dotyka mnie a potem wchodzi do mego łóżka, kłęk na moich piersiach, chwyta mnie oburącz za gardło i ściska... ściska... ze wszystkich sił, chcąc mnie udusić...

Bronię się, skrępowany tą straszną niemocą, jaka nas w snach obezwładnia; chciałbym krzyczeć — nie mogę; chcę się ruszyć — nie jestem w stanie; próbuję z największym wysiłkiem, dysząc, odwrócić się, zrzucić z siebie tę istotę, która mnie przygniata i dławi — nie potrafię!

Naraz budzę się, półobłąkany, cały w potach. Zapalam świecę — sam jestem.

Po tej kryzys, ponawiającej się, noc w noc, uspiam po raz wtóry i śpię, spokojnie już, do samego świtu.

2 czerwca — Stan mój pogorszył się jeszcze. Co mi u licha jest? Brom nie pomaga wcale, natryski pozostają bez skutku. Właśnie — chcąc zmęczyć ciało — takie znużone zresztą, byłem się przejść po lesie Roumare. Miałem nadzieję, że świeże powietrze, lekkie i miłe, pełne zapachu ziół i liści, odświeży mi w żyłach krew, wykrzesze z mego serca nową energię. Poszedłem zrazu wielką aleją myśliwską, poczem skręciłem ku La Bouille wązką drożyną pomiędzy dwoma wojskami niezmiernie wysokich drzew, które między mną a niebem tworzyły zielony, ciemny, prawie czarny dach.

Wtem dreszcz mnie przeszedł, nie dreszcz zimna jednakże, tylko szczególny dreszcz lęku.

Przyspieszyłem kroku, zaniepokojony mą samotnością w tym lesie, wylękły bez żadnej określonej racyi, w zgoła niedorzeczny sposób, dlatego tylko, że byłem tam — sam. Naraz wydało mi się, że za mną ktoś idzie, że mi następuje na pięty, dotyka mnie, że jest tuż, tuż...

Odwrociłem się zniecka, nie było nikogo. Ujrzałem poza sobą tylko aleję, długą, wysoko sklepioną i przerażająco pustą a w przeciwnym kierunku ciągnęła się jak wzrokiem sięgnął, druga, zupełnie podobna, straszna.

Zamknąłem oczy. Dlaczego?... Począłem się obracać na pięcie, prędko, coraz to prędzej, jak fryga, żem o mało nie upadł. Drzewa tańczyły teraz dokoła mnie, ziemia falowała, musiałem usiąść. Lecz — ach! — nie wiedziałem obecnie, z której strony przyszedłem. Co za myśl dzika!... Ani rusz zgadnąć! Skierowawszy się wreszcie na prawo, dotarłem do alei, która mnie zawiodła w sam środek lasu.

3 czerwca — Straszliwa noc! Muszę wyjechać na kilka tygodni. Może mnie mała podróż uleczy.

2 lipca — Wracam. Jestem uzdrowiony. Zrobiłem prześliczną wycieczkę!... Byłem na górze św. Michała, której nie znałem dotąd.

Co za wspaniały widok, kiedy się jak ja, przybędzie do Avranches na schyłku dnia!... Avranches wznosi się na wzgórzu. Zaprowadzono mnie do publicznego ogrodu na samym końcu miasta. Krzyknąłem z podziwu. Niezmierzona okiem zatoka rozwarła się przedemną pomiędzy dwoma szeroko rozsuniętymi wybrzeżami, których krańce ginęły w mgłę oddalenia; w pośrodku zaś tej zatoki, olbrzymiej, jasnej, pod niebem złocistym, promiennym, wznosiła się z tła piachów ciemna, kończata góra dziwnego kształtu. Słońce co tylko zaszło a na palającym jeszcze tle widnokregu tem wyraziściej się rysował fantastyczny profil tej góry, na której szczycie wznosi się fantastyczny monument.

Poszedłem tam z brzaskiem najbliższego dnia. Stan morza był niski, jak wczoraj wieczór, w miarę zaś jak dochodziłem szczytu, gmachy zadziwiającego opactwa wynurzały się coraz bliżej przed mym wzrokiem. Po kilku godzinach drogi dotarłem nareszcie na wierzch olbrzymiej skały, dźwigającej na sobie maleńkie miasteczko, ponad którym górują wysokie mury świątyni. Po przebyciu uliczki stromej i ciasnej wszedłem do najcudniejszego z domów bożych w stylu gotyckim, jakie kiedykolwiek wzniesiono na ziemi, rozległego jak miasto, pełnego niskich wnętrz, przywalonych sklepieniami i wyniosłych galerii o smukle kolumnki wspartych. Wstąpiłem w wnętrze tego olbrzymiego cacka z granitu, lekkiego jak koronka, najeżonego lasem wieżyczek i lekkich dzwonnicy, na które się wchodzi po kręconych schodach i które wnoszą ku jasnemu niebu dnia, ku ciemnym niebiosom nocy, dziwaczne swoje głowy, nastroszone postaciami chimer i biesów, fantastycznymi zwierzętami i kwiatami potwornych kształtów, powiązane z sobą misternie rzeźbionymi łukami.

Znalazłszy się na szczycie, zagadnąłem mnicha, który mi towarzyszył:

— Musi wam tutaj dobrze być, ojczce?

Odparł:

— Wiatr tutaj dmie straszliwy.

Poczęliśmy rozmawiać, przypatrując się przyplýwowi, który biegnąc coraz dalej po piaskach, zakuwał je w pancerz ze stali.

Zakonnik począł mi opowiadać historie, wszystkie dawne historie, związane z miejscem; legendy, same legendy.

Jedna z nich uderzyła mnie szczególnie. Miejscowa ludność, ta z góry, utrzymuje, że nocami dolatują z piasków głosy ludzkie, a następnie że słycać beczenie kóz, jednej grubym, drugiej cieńszym głosem. Według zdania niedowiarków są to po prostu krzyki morskiego ptactwa, podobne już to do beku kóz, już to do ludzkich jęków. Ale zapóźnieni rybacy przysięgają się, że krążąc po nadbrzeżnych piaskach, pomiędzy przyplýwem i odpływem, dokoła tej małej miejsciny, leżącej hen, za światami, spotykali niekiedy staro pastucha, którego głowy, nakrytej płaszczem, nie było widać, prowadzącego za sobą kozła z twarzą mężczyzny i kozę z kobiecym licem, oboje pokrytych długą, białą sierścią i gadających bez przerwy w nieznanym języku, jakby się z sobą kłócili, poczem naraz dziwadła, zaniechawszy krzyku, poczynęły beczeć z całych sił.

Zapytałem mnicha:

— Wierzy ojciec w to?

Szepnął:

— Czy ja wiem.

Ja zaś:

— Toż gdyby istniały na ziemi stworzenia tak odmienne od nas, musielibyśmy je znać od dawna?... Jakim sposobem stałby się mogło, abyście wy ojcie nie widzieli żadnego ni razu?... abym ja ich nigdy nie widział?...

Odparł:

— A czyliż my widzimy jedną stutysięczną część tego, co jest?... Patrz pan, oto na przykład wiatr, jedna z największych sił w przyrodzie: obala on ludzi, burzy gmachy, wyrывa z korzeniami drzewa, wzbija morze w olbrzymie góry wodne, kruszy skały, ciska ogromnymi statkami, jak piłką, o podwodne rafy, — a widziałeś go pan kiedy? ten wiatr, co jęczy, świszczce, zabija?... lub czy go pan jesteś w stanie obaczyć?... A przecież on istnieje.

Zamilkłem wobec tak prostego rozumowania. Ten człowiek mógł być zresztą równie dobrze mędrcom jak i głuptasem; niepodobna mi było o tem rozstrzygnąć na pewno, — ale umilkłem. To, co powiedział, i mnie przychodziło często na myśl.

3 lipca — Źle spałem. W tutejszym klimacie muszą się znajdować jakieś zarodki febry, ponieważ mój woźnica choruje w zupełnie taki sam sposób jak ja. Wróciwszy wczoraj, zauważyłem zaraz, że pobladł bardzo, więc go zapytałem:

— A co ci to, Janie?

— Nie mogę sypiać, proszę pana: Noc zjada mi dzień. Od wyjazdu pana nie opuszcza mnie to ani na chwilę.

Reszta domowników ma się dobrze pomimo tego, — obawiam się jednak bardzo u siebie recydywy.

4 lipca — Stanowczo, moja choroba wróciła mi się. Dawne zmyły mnie nawiedzają. Tej nocy uczułem wyraźnie, jak ktoś, przykucnąwszy na mnie i przytknąwszy swe usta do moich ust, życie mi z nich wypijał. Tak jest — wysysał mi je z piersi jak pijawka. Potem się podniosł, nasycony, a ja się przebudziłem, taki złamany, zbity, unicestwiony, że się nie mogłem ruszać... Jeżeli to nie ustanie za dni kilka — będę musiał znowu wyjechać.

5 lipca — Czy ja zmysły tracę, czy co?... To, co się stało, to, co widziałem ostatniej nocy, jest tak dziwne, że tracę głowę na samą myśl o tem!

Jak zwykłem to obecnie czynić co wieczór, zamknąłem za sobą drzwi sypialni na klucz; ponieważ mi się chciało pić, wypilem pół szklanki wody i zauważyłem przypadkiem, że karafka jest napelniona po sam korek z kryształu.

Następnie położyłem się i zapadłem niebawem w jeden z tych moich strasznych snów, z którego w dwie godziny potem zbudziło mnie jeszcze straszliwsze wstrząśnienie.

Wystawcie sobie człowieka śpiącego, na którym spełniają mord, i który się budzi z nożem w płucach, charcząc, zbroczony krwią, niezdolny złapać tchu... i kona... nie wiedząc, co się z nim dzieje...

Zdoławszy w końcu odzyskać przytomność, uczułem znowu pragnienie, zapaliłem więc świecę i poszedłem do stołu, na którym stała karafka. Podnoszę ją, przechylam nad szklanką — nie wypłynęła ani kropelka. Była próżna!... była kompletnie próżna!... Zrazu nie mogłem pojąć, co się stało; nagle przejęło mnie wzruszenie tak straszliwe, że musiałem usiąść, a raczej, że padłem na krzesło. Wnet jednak zerwałem się jednym susem, rozglądając się dokoła. A potem usiadłem znowu, zdumiony i przerażony aż do oblędu!... w obliczu tego przezroczystego kryształowego naczynia, w którym nie było ani kropli... Wpiwszy w nie wytrzeszczone oczy, sililem się na przeniknięcie zagadki!... Ręce mi się trzęsły... Więc woda została wypita!... Kto ją wypił?... Ja?... Bez wątpienia ja sam... Nikt inny przecie nie mógł jej wypić, oprócz mnie... lecz w takim razie byłem somnambulikiem, żyłem — sam o tem nie wiedząc — owem tajemniczem, podwójnem życiem, które każe powątpiewać, czy w nas przypadkiem nie mieszkają dwie istoty, lub też czy jakaś istota obca, niewidzialna i niepoznawalna, nie owłada chwilami, gdy dusza nasza pogrąży się we śnie — naszym ciałem, posłusznem jej, jak nam samym, więcej niżeli nam samym.

I któż zdoła objąć okropny mój strach?... Kto pojmie wzruszenie człowieka zdrowego na umyśle, zupełnie otrzeźwionego ze snu, rozsądnego, który patrzy z przerażeniem na wskrószonej szklanej karafki, gdzie znikło trochę wody w czasie jego snu!... Siedziałem tak do białego dnia, nie śmiać do łóżka wracać.

6 lipca — Jestem bliżki obłądu. Ktoś wypił znowu całą karafkę tej nocy; a raczej ja... chyba ja ją wypilem.

Ale — czyż ja?... Czy ja?!... Lub — kto?... Kto?!... — Boże mój! Ja oszaleję!... Któż mnie ocali?...

10 lipca — Poczyliłem zadziwiające spostrzeżenia.

Stanowczo! jestem waryatem!... A jednak!...

Dnia 6 lipca, przed położeniem się spać, postawiłem u siebie na stole wino, mleko, wodę, chleb i poziomki.

Wypito — ja wypilem — wszystką wodę i nieco mleka. Wino, chleb i poziomki pozostały nietknięte.

Siódmego lipca powtórzyłem to doświadczenie z takim samym rezultatem.

Ósmego lipca usunąłem wodę i mleko. Nie ruszono niczego.

Dziewiątego lipca wreszcie umieściłem na stole samą tylko wodę i mleko, wzięwszy się przytem na sposób i owinąwszy obie karafki w biały muszlin, korki zaś przymocowałem szpagatem. Następnie natarłem sobie dobrze wargi, brodę i ręce grafitem i położyłem się spać.

Nieprzewyciężona senność ogarnęła mnie prawie natychmiast, wkrótce po niej jednakże nastąpiło okrutne przebudzenie. Ani się nie ruszyłem przez sen; nawet pościel na łóżku nie nosiła najlżejszych śladów grafitu, którym byłem uczerniony. Poskoczyłem do stołu. Białe płatki, owijające jedną i drugą butelkę, pozostały bez najmniejszej plamki. Odwiązałem korki, trzęsąc się ze strachu. Wszystkie woda była wypita! wszystko mleko także!... Boże!...

Jadę natychmiast do Paryża.

12 lipca — Paryż. Byłem tedy obrany z rozumu przez czas ostatnich dni! Musiałem paść igraszką mej zdenerwowanej wyobraźni — jeżeli przypadkowo nie jestem naprawdę somnambulikiem lub jeżeli nie uległem jednemu z tych stwierdzonych, lecz dotąd niewyjaśnionych wpływów, noszących miano sugestyi. W każdym razie opętanie moje graniczyło z obłądem — na szczęście dwadzieścia cztery godzin Paryża wystarczyło, aby mnie „na nogi postawić”.

Po całym szeregu wczorajszych przejażdżek i wizyt, które wpuściły do mej duszy świeże i ożywcze powietrze, zakończyłem dzień w „Teatrze francuskim”. Grano sztukę Dumasa-syna a pełen życia i krzepkości umysł tego pisarza uzdrowił mnie do reszty. Zaiste, samotność nie jest bezpieczną rzeczą dla pobudliwych imaginacyi. Potrzeba im otoczenia ludzi, którzy myślą i mówią. Pozostając zbyt długo sami, poczynamy zaludniać majakami próżnię.

Wróciłem do hotelu przez bulwary, bardzo wesół. Obszturkiwany łokciami tłumu, nie bez ironii myślałem o mych obawach, o moich przypuszczeniach z tamtego tygodnia, bo przecież zdawało mi się, tak jest, formalnie zaczęło mi się zdawać, że jakaś niewidzialna istota przebywa pod moim dachem razem ze mną. Jakże słabą jest nasza głowa i jak się łatwo przestrasza, jak łatwo popada w błąd, natknąwszy się na lada niezrozumiałą drobnostkę.

Zamiast powiedzieć sobie: — „Nie pojmuję, ponieważ przyczyna nie jest mi znana” — wymyślamy zaraz Bóg wie jakie straszliwe tajemnice i nadnaturalne siły!...

14 lipca — Rocznicą Rzeczypospolitej. Wychodziłem przejść się po mieście. Cieszyłem się z salw i chorągwi jak mały dzieciak. A przecież ileż to niedorzeczności w tym nastroju radosnym pewnych ściśle oznaczonych dni. Lud jest stadem głupców, to idyotycznie cierpliwych, to zrewoltowanych dziko. Powiedzą mu: — „Masz się bawić!” — bawi się. Powiedzą mu: — „Idź się bij z sąsiadami!” — idzie się bić; — „Głosuj za cesarzem” — oddaje głos cesarzowi; „głosuj za republiką” — odda głos republice.

Ci, co nimi kierują, są także głupcami, z tą różnicą, że zamiast słuchać ludzi, słuchają zasad, które już przez to samo są głupie, jałowe i fałszywe, że są zasadami, to znaczą ideami, uchodzącymi za pewne i niezienne — na tym świecie, gdzie nie ma nic pewnego, ponieważ światło jest złudą, ponieważ złudą jest dźwięk.

16 lipca — Widziałem wczoraj rzeczy, które mnie otoczyły mrokiem.

Byłem na obiedzie u mojej kuzynki, pani Sablé, której mąż jest komendantem 76. pułku strzelców w Limoges. Zastałem u niej dwie młode kobiety, z których jedna jest zo-

ną lekarza, doktora Parent, zajmującego się specjalnie chorobami nerwów oraz nadzwyczajnymi objawami, stwierdzanymi obecnie przez doświadczenia z hipnotyzmem i sugestją.

Między innymi opowiadał nam obszernie cudowne rezultaty, osiągnięte przez uczonych angielskich i lekarzy w Nancy.

Przytoczone przez niego fakta tak mi się wydały dziwne, że nie kryłem przed nim mojej całkowitej nieufności.

— Jesteśmy niedalecy — twierdził — odkrycia jednej z najdonioślejszych tajemnic przyrody, chcę przez to powiedzieć: jednej z najdonioślejszych tajemnic na tej ziemi, bo istnieją z pewnością nie mniej doniosłe tam, na gwiazdach!... Odkąd człowiek myśli i odkąd umie swe myśli wypowiadać i pismem utrwaląć, czuje, że ociera się nieustannie o tajemnice, niezbadane dla jego grubych i niedoskonałych zmysłów i stara się wysiłkami inteligencji uzupełnić bezsilność swoich organów. Kiedy ta inteligencja pozostawała jeszcze w stanie pierwotnym, obcowanie człowieka z fenomenami niewidzialnego świata przybierało formy banalnych okropieństw. Stąd wzięła początek ludowa wiara w rzeczy nadnaturalne, legendy o duszach pokutujących, o wróżkach, gnomach, straszydłach itp.

— Od jakich stu lat wszakże ludzie zdają się przeczuwać coś nowego. Mesmer i kilku innych jeszcze skierowali nas na nieoczekiwaną drogę, na której doszliśmy w rzeczy samej, od czterech albo pięciu lat zwłaszcza, do zdumiewających wyników.

Moja kuzynka, również wielki niedowiarek, rozśmiała się. Dr Parent zapytał ją wówczas:

— Chce pani, abym panią spróbował uspić?

— I owszem, proszę pana.

Usiadła w fotelu a on począł się w nią wpatrywać uparcie, fascynująco. Dziwnie się czułem wzruszonym, obserwując tę scenę; serce me uderzyło mocniej, coś mnie poczęło ścisnąć za gardło. Tymczasem powieki pani Sablé poczęły ciężać, usta zacisnęły się kurczowo, pierś dyszeć poczęła.

Po upływie dziesięciu minut spała.

— Stań pan poza panią — polecił mi lekarz.

Stanąłem za plecyma mej kuzynki. Włożywszy jej w rękę bilet wizytowy, rzekł doktor:

— Daję pani lusterko. Co w nim widzisz?

— Widzę mojego kuzyna — odparła.

— Co robi?

— Podkręca wąsy.

— A teraz?

— Wyjmuje z kieszeni fotografię.

— Czyją fotografię?...

— Swoją własną.

Wszystko to było prawdą. Fotografie te zaś wręczono mi w hotelu tegoż wieczora.

— W jakiej pozie przedstawia go to zdjęcie?

— W stojącej, z kapeluszem w ręce.

Widziała zatem wszystko, jak w lustrze, na tym kawałku papieru.

Młode kobiety, przelęte, poczęły wołać:

— Dosyć!... Dosyć!...

Ale lekarz rozkazał jeszcze uspionej:

— Wstanie pani jutro o godzinie ósmej zrana, poczem odwiedzi pani swego kuzyna w hotelu i poprosi go pani o pożyczanie 5000 franków, których mąż pani, podróżujący właśnie, zażądał od pani.

Następnie obudził ją.

W powrocie do domu rozmyślałem o tym ciekawym seansie i nie zdołałem się oprzeć płamiącym mnie podejrzeniom — nie co się tyczy absolutnej i nieulegającej żadnym kwestyom dobrej wiary mej kuzynki, którą znałem od dzieciństwa jak siostrę, lecz w kierunku możliwego oszukaństwa ze strony lekarza. Nie mógłże naprzykład ukrywać w ręce lusterka, które pokazywał uspionej wraz z biletem wizytowym?... Prestidigitatorzy z zawodu dowodzą także rzeczy zadziwiających — na swój sposób.

Wróciłem tedy i położyłem się spać.

Tymczasem rano około wpół do ósmej budzi mnie mój służący oznajmieniem:

— Pani Sablé pragnie się z panem natychmiast widzieć.
 Ubrałem się spiesźnie i przyjąłem ją.
 Siadła mocno zakłopotana, ze spuszczonei oczyma, i nie podnosząc woalki, rzekła:
 — Kochany kuzynie, przyszedłem do ciebie z wielką prośbą...
 — Cóż to takiego, kuzyneczko?
 — Wstydzę się doprawdy mówić o tem, no ale kiedy muszę. Potrzeba mi... ale to koniecznie... 5000 franków.
 — Cóż znowu?... Tobie?!
 — Tak jest, mnie, a raczej memu mężowi, który polecił mi o nie się postarać.
 Byłem tak zdumiony, że język począł mi się plątać, kiedy jej chciałem odpowiedzieć. Zapytywałem sam siebie, czy ona przypadkiem nie kpi ze mnie i z doktora Parent, — jeżeli to z drugiej strony nie jest poprostu figiel obojga, z góry umówiony i zagrany wybornie.
 Lecz kiedy się jej uważniej przypatrzyłem, ustąpiły wszystkie me wątpliwości. Trzęsła się ze wzruszenia, taką jej krok ten sprawiał mękę, odczułem też, że musi się dławić od wstrzymywanych łkań.
 Wiedząc, jak są majętni, ponowiłem:
 — Jak to?... Mąż twój nie miałby mieć do dyspozycyi 5000 franków? Zastanów-no się, proszę cię. Czy jesteś pewną, że ci istotnie zlecił zażądać tych pieniędzy odemnie?
 Wahala się przez kilka sekund, jakby czyniła w pamięci ogromny wysiłek, poczem odpowiedziała:
 — Tak jest... tak jest... Jestem tego pewną...
 — Pisał do ciebie?
 Zawahała się znowu, namyślając się. Przenikałem męczącą pracę jej mózgu. Nie wiedziałam, jaką dać odpowiedź. Wiadomem jej było jedynie, że ma u mnie pożyczyć dla męża 5000 franków — nie miała zaś odwagi kłamać.
 — Tak jest, pisał do mnie.
 — A to kiedy?... Nie wspomniałaś mi o tem wczoraj ani słóweczka.
 — Otrzymałam list dziś rano.
 — Nie mogłabyś mi go pokazać?
 — Nie, nie, nie... Są w nim rzeczy poufne... zbyt osobiste... To też... to też spaliłam go...
 — Zatem twój mąż robi długi...
 Zawahała się, a potem szepnęła:
 — Nie wiem.
 Oświadczyłem jej nagle:
 — Niestety, nie rozporządzam w danej chwili 5000 franków, droga kuzynko.
 Wydała z siebie coś w rodzaju okrzyku bólesci.
 — Och! proszę cię o to... bardzo cię proszę, postaraj się...
 Poczęła się egzaltować, splotła ręce w błagalnym geście!... Zauważyłem przytem zmianę tonu w jej głosie... Rozplakawszy się, poczęła bełkotać, pod nękałym wpływem rozkazu, który ją ujarzmił.
 — Och! błagam cię... Gdybyś wiedział, jak cierpię... Potrzeba mi tych pieniędzy dziś jeszcze...
 Zlitowałem się nad nią.
 — W takim razie będziesz je mieć niezawodnie. Przysięgam ci.
 — O dzięki! dzięki!... Jakiś ty dobry!
 Teraz jednak zapytałem ją:
 — Czy sobie przypominasz, co się u was działo wczoraj wieczór?
 — Przypominam.
 — I to także, że cię dr. Parent uspił?
 — Tak jest.
 — Dowiedz-że się, że nakazał ci we śnie przyjść do mnie dzisiaj zrana z żądaniem pożyczki 5000 franków i że w tej chwili jesteś posłuszną tej sugestyi.
 Zamyśliła się na mgnienie oka, poczem rzekła:
 — Kiedy tych pieniędzy żąda mój mąż.
 Męczyłem się całą godzinę, aby ją przekonać, ale daremnie.

Po jej odejściu pobiegłem do doktora. Wychodził właśnie. Śmiał się, słuchając mej relacji, a potem powiedział:

— Wierzysz pan teraz?

— Wierzę. Trudno nie wierzyć.

— Chodźmy do pańskiej kuzynki.

Leżała na szezlongu, wyczerpana zmęczeniem. Lekarz zbadał jej puls i wpatrywał się w nią przez chwilę, podniósłszy rękę ku jej oczom, które zamykały się zwolna pod nieodpartym wpływem magnetycznej siły.

Skoro usnęła, rzekł:

— Mąż pani nie potrzebuje już owych 5000 franków. Zapomnisz pani więc, że prosiłaś kuzyna o pożyczkę, a gdyby chciał o tem mówić, nie będziesz rozumieć niczego.

Następnie zbudził ją. Dobyteł z kieszeni portfelu.

— Służę ci kuzyneczko tem, czego odemnie żądałaś dziś zrana.

Była tak mocno zdziwiona, że nie śmiałem napierać. Próbowałem pomimo tego rozbudzić jej pamięć, przeczyła jednak wszystkiemu z siłą, zaczęła brać, co mówiłem, za żarty i omal się w końcu nie obraziła.

Oto przebieg tego epizodu. Wróciłem stamtąd do tego stopnia wzburzony całym eksperymentem, że nie byłem w stanie śniadania zjeść.

19 lipca — Wiele osób, którym opowiedziałem powyższe zdarzenie, żartowało sobie ze mnie. Sam nie wiem, co o tem wszystkim myśleć. Mędrzec mówi: Być może?

21 lipca — Jadłem obiad w Bougival, poczem spędziłem wieczór na zabawie wioślarzy. Stanowczo wszystko zależy od otoczenia i miejsca. Wierzyć w rzeczy nadnaturalne na wysepce *Kaluza* byłoby skończonym idyotyzmem... ale na szczycie góry św. Michała?... ale w Indyach?... Pozostajemy w straszliwej zależności od wpływów wszystkiego, co nas otacza. Wracam do siebie najbliższego tygodnia.

30 lipca — Przyjechałem do domu wczoraj. Wszystko jak najlepiej.

2 sierpnia — Nic nowego: pogoda przecudna. Spędzam dnie na przypatrywaniu się falom płynącej Sekwany.

4 sierpnia — Kłótnie wśród mojej służby. Utrzymują, że w nocy tłucze ktoś szklanki w szafach. Lokaj obwinia kucharkę, ta wini praczkę, a ta znów innych dwoje. Kto z nich właściwie winien? — mądry, kto zgadnie.

6 sierpnia — Tym razem nie jestem szalony!... Widziałem! widziałem! widziałem!... Nie mogę już teraz wątpić... widziałem!... Do tej chwili zimno przejmuję mnie po same końce palców... do szpiku kości przenika mnie strach... Widziałem!...

Przechadzałem się o godzinie drugiej po słońcu wśród moich szklarni z różami... szpalerem róż jesiennych, które poczynają obecnie kwitnąć.

Zatrzymawszy się właśnie przed jedną z nich, aby obejrzeć trzy wspaniałe kwiaty, jakimi się pyszniła, ujrzałem — ale to ujrzałem najwyraźniej, o krok odemnie, jak lodyżka jednej z nich zgina się, niby pod naciskiem niewidzialnej ręki, poczem nagle złamała się, jak gdyby kwiat zerwano!... W ślad za tem róża uniosła się, opisując łuk, jakiby zakreśliła ręką, podnosząca ją ku czyjejs twarzy i zatrzymała się, zawieszona w przeźroczem powietrzu, tworząc niepołączoną z niczem, nieruchomą, straszliwą pąsową płamę tuż przed moimi oczyma...

Skoczyłem w jej stronę jak szaleniec, by ją uchwycić!... Nic nie znalazłem; zniknęła. Wówczas porwała mnie nieopisana wściekłość na samego siebie... Bo czyliż wypada człowiekowi poważnemu i rozsądnemu dopuszczać do siebie podobne halucynacje?!...

Ale czy to była rzeczywiście halucynacja?... Odwróciłem się, ażeby obejrzeć lodyżkę, i odnalazłem ją natychmiast na krzaku, świeżo złamaną, pomiędzy dwiema tamtymi różami, które pozostały na swojej gałązce nietknięte...

Wówczas wróciłem do pokoju, cały wzburzony, gdyż jestem teraz pewien — pewien jak tego, że po dniu następuje noc!... — istnienia w mem pobliżu istoty niewidzialnej, która żyje wodą i mlekiem, może dotykać przedmiotów, chwytając je i przenosić z miejsca na miejsce, jest zatem natury materialnej, aczkolwiek niepoznawalna dla zmysłów naszych, i że istota ta mieszka jak ja pod moim dachem...

7 sierpnia — Spałem spokojnie. Wypił mi wodę z karafki, ale nie zakłócił mi snu przynajmniej.

Pytam sam siebie, czy jestem szalony, czy nie? Przechadzając się chwilę temu po słoncu brzegiem rzeki, powziąłem niejaki wątpliwości co do stanu mego umysłu... Nie wątpliwości mgliste, jakie miałem dawniej, lecz określone, stanowcze. Widziałem w życiu nieraz waryatów, znałem nawet pośród nich takich, którzy zachowali przytomność, a nawet przenikliwość we wszystkich interesach życiowych, wyjąwszy jeden jakiś punkt. Mówili o wszystkim jasno, sprytnie, niepowierzchnie nawet, wtem myśl ich, natrafwszy na szkopał ich obłądu, darła się w kawałki, rozprasała się i tonęła w oceanie lęku i furji, pełnym podskakujących fal, mgieł i wirów, które się zwą „obłądem”.

Zaiste uważałbym i siebie za waryata, za kompletnego waryata, gdybym nie posiadał świadomości, gdybym sobie nie zdawał sprawy z mego stanu, gdybym go całkowicie nie zgłębiał, analizując go z zupełną jasnością. Mógłbym być ostatecznie co najwyżej rezonującym wizjonerem. W mózgu moim mogło powstać nieznanne zaburzenie, jedno z owych zaburzeń, jakie dzisiejsi fizyologowie próbują notować i określać, i to właśnie zaburzenie mogłoby w mym umyśle, w porządku i logice moich idei, wytworzyć głęboką rysę... Podobne fenomeny zdarzają się we śnie, który nas wodzi po labiryntach najnieprawdopodobniejszych fantazmagoryi, nie budząc w nas zdziwienia, ponieważ aparat sprawdzający, ponieważ zmysł kontroli śpi w nas, podczas kiedy zdolność wyobrażania czuwa i pracuje. Nie jestże rzeczą możliwą, że jeden z niewidzialnych klawiszów mojej klawiatury mózgowej uległ porażeniu?... Wszak zdarza się, że ludzie tracą skutkiem wypadków pamięć do imion własnych lub cyfr, albo do samych tylko dat. Umiejscowienie wszystkich drobnych myśli jest dzisiaj rzeczą dowiedzioną. Owóż — coby w tem było dziwnego, gdyby moja zdolność kontrolowania nieprawdziwości pewnych halucynacji znajdowała się w danej chwili w strętawieniu.

Myślałem nad tem wszystkim, idąc brzegiem wody. Słońce, oblewając rzekę swym blaskiem, czyniło ziemię rozkoszną, nasycalo me spojrzenie miłością do życia, do jaskółek, których ruchliwość taką rozkosz sprawia naszym oczom, do ziół nadbrzeżnych, których szelest poi nasze uszy takim szczęściem.

Powoli jednak zaczęło mną owładać uczucie jakiejś niewytłómaczonej niemocy. Miałem wrażenie, że jakaś niewidzialna siła czyni mnie ociężałym, nie pozwala mi iść dalej, w tył mnie przyzywa. Czulem owo przykre nawoływanie do powrotu, jakie nas nęka, kiedyśmy zostawili w domu ukochanego chorego, u którego się obawiamy pogorszenia.

I otóż wróciłem, mimo mej woli, pewien, że zastanę w domu złą wiadomość, list lub depeszę. Nic podobnego; zdziwiłem się tem jednak i zaniepokoiłem bardziej, niż gdybym został znowu nawiedzony jakąś fantastyczną wizją.

8 sierpnia — Przeżyłem wczoraj straszny wieczór. Nie zdradza on się już, czuję go jednak w mej bliskości, czuję, jak mnie szpieguje, podgląda, przenika, opanowuje, straszniejszy w tem utajeniu się, niż gdyby nadnaturalnymi zjawiskami zdradzał swą obecność niewidzialną a stałą.

Spałem pomimo tego.

9 sierpnia — Nic nowego, lecz strach mnie nie opuszcza.

10 sierpnia — Nic; co będzie jutro?

11 sierpnia — Ciągle nic; nie mogę tutaj wytrzymać z tym ustawicznym lękiem i z tą uporczywą myślą, co wpiwszy mi się w duszę, nie odstępować mi ani na krok. Wyjadę.

12 sierpnia — (godz. 10 wieczór). — Przez cały dzień się zbierałem, ażeby wyjechać; nie mogłem. Nie byłem w stanie wykonać tego tak prostego aktu woli, jakim jest: wyjść — wsiąść do powozu i pojechać do Rouen, no nie byłem. Dlaczego?...

13 sierpnia — Są choroby, w których wszystkie sprężyny naszej istoty fizycznej wydają się jakby połamane, energie unicestwione, mięśnie zwiotczałe, kości rozmiękłe jak ciało, a ciało płynne jak woda. Coś podobnego odczuwam w obecnym stanie mej istoty moralnej w dziwnie dojmujący sposób. Jestem kompletnie bez sił, ani odrobiny odwagi, nic panowania nad sobą, żadnej zdolności puszczenia choćby w ruch woli własnej. Nie jestem w stanie chcieć — ktoś inny natomiast chce za mnie, a ja mu jestem posłuszny.

14 sierpnia — Jestem zgubiony! Ktoś opanował mą duszę i rządzi nią!... Ktoś kieruje wszystkimi moimi czynami, każdym ruchem, myślą. Nie jestem już sam w sobie niczem,

niczem jak tylko widzem bezwolnym i przerażonym przez wszystko to, co robię. Chciałbym wyjść. Nie mogę. On nie chce; i zostaję, tracąc głowę, trzęsąc się w fotelu, w którym mnie zatrzymał. Chcę w końcu choćby tylko powstać, podnieść się, aby nie stracić wiary, że jestem jeszcze panem samego siebie. Nie mogę! Jestem przykuty do mego krzesła, a krzesło do podłogi, tak że żadna siła na świecie nie byłaby mnie w stanie poruszyć.

Wtem ni stąd ni zowąd — uczuвам, że muszę, muszę bezwarunkowo pójść w głąb mego ogrodu, nazbierać truskawek i zjeść je. I idę. Zbieram truskawki, Zjadam je!... O Boże! Boże! Boże!... Czyliż jest Bóg?... Jeżeliś jest — oswobódź mnie, Panie! ratuj! wspomóż mnie!... Przebaczenia! Litości! Łaski!... Ratuj mnie!... Och! co za cierpienie!... Co za męka!... Co za okropność!...

15 sierpnia — Oto w jaki sposób była opętana i kierowana moja biedna kuzynka, kiedy przyszła do mnie pożyczyc 5000 franków. Ulegała ona cudzej woli, która wstąpiła w nią niby cudza dusza, pasożytnicza i samowładna... Czyliż się zbliża koniec świata?...

Kim jest ten niewidzialny, który mną włada? ten niepoznawalny włóczęga nadprzyrodzonego pochodzenia?...

Więc Niewidzialni istnieją!... Dlaczego jednak w takim razie nie objawili się dotąd od początku świata sposobem tak wyrazistym jak uczynili to wobec mnie?... Nie zdarzyło mi się nigdy czytać nic podobnego do tych rzeczy, jakie się dzieją w domu moim. Och! gdybym go chociaż mógł opuścić, wynieść się zeń, uciec i nie wrócić. Byłbym wtenczas uratowany!... Niestety — nie mogę.

16 sierpnia — Zdołałem się dzisiaj wymknąć na przeciąg dwóch godzin jak więzień, co zastanie przypadkiem niezamknięte drzwi swej celi. Naraz uczułem, że jestem wolny i że on się znajduje daleko... Kazawszy co prędzej zaprzęgać, pojechałem do Rouen. O cóż to za rozkosz móż powiedzieć człowiekowi, który musi wypełnić nasze zlecenie: — „Jedź do Rouen!”

Kazałem mu się zatrzymać przed biblioteką i poprosiłem o pożyczanie wielkiego traktatu dra Hermana Herestauss'a o nieznanym mieszkańcach starożytnego i nowoczesnego świata.

W chwili, kiedym napowrót wsiadał do powozu, chciałem powiedzieć: — Do przystani! — tymczasem krzyknąłem, nie wyrzekłem, tylko krzyknąłem! tak głośno, że aż się przechodnie odwracali: — Do domu!... — poczem, oszalały z przestachu, padłem na poduszki pojazdu. Odnalazł mnie i opanował napowrót!...

17 sierpnia — Ach! co za noc! co za noc!... A przecież zdaje mi się, że bym się powinien cieszyć... Aż do godziny pierwszej po północy czytałem. Herman Herestauss, doktor filozofii i teogonii, spisał historię i znaki, przez które objawiają się wszystkie istoty niewidzialne, krążące dokoła człowieka lub zjawiające mu się w snach. Kreśli on ich pochodzenie, dziedzinę ich, ich moc. Żadna z nich wszakże nie jest podobną do tej, która mnie nęka. Rzeczy można, że odkąd człowiek myśli — przeczuwał i lękał się zawsze nowej istoty, silniejszej niż on spadkobierczyni swojej na ziemi, i że odczuwając jej bliskość a nie będąc zdolnym przeniknąć natury tego władcy, stworzył, pod wpływem swojej trwogi, cały fantastyczny tłum tajemniczych tworów, widm niepochwytanych, zrodzonych z lęku.

Przesiedziałem tedy nad lekturą do godziny pierwszej zrana, poczem poszedłem usiąść przy oknie otwartem, aby odświeżyć czoło i myśl w chłodnym powiewie mroków.

Tak było przyjemnie!... Ociepliło się. Jakżebym się był rozkoszował dawniej taką nocą?...

Noc była bez księżycy. Natomiast gwiazdy iskrzyły się, drżące, w głębiach czarnego nieboskłonu. Kto też zamieszkiwać może te światy?... Jakie kształty, jakie istoty, jakie rośliny i zwierzęta znajdują się tam?... Co wiedzą więcej od nas ci, których myśl pracuje w tych światach odległych?... O ile więcej mogą oni — niż my? Co widzą — z rzeczy, dla nas niedostrzegalnych wcale?... Czy nie pojawi się pewnego pięknego dnia — przebywszy przestwór — jeden z nich na naszej ziemi, aby ją zawojować, jak niegdyś Normandowie morza przebywali, aby podbijając ludy od nich słabsze?...

Jesteśmy tacy bezsilni, tacy bezbronni, tacy niewiedzący i mali na tej kruszynie błota, co krąży, rozmokła w kropli wody.

Zasnąłem, marząc tak na chłodnym wietrze nocy.

Wtem, przepawszy około czterdziestu minut, otwarłem oczy bez poruszenia, zbudzony nie wiem jakim wrażeniem niepochwytnym i dziwnym. Zrazu nie spostrzegłem nic, wtem wydało mi się, że kartka książki, która leżała na stole otwarta, obróciła się sama przez się. Z okna nie wpadał najłżejszy nawet powiew wiatru. Zdziwiony czekałem. Po upływie mniej więcej czterech minut widzę, tak jest, widzę na własne oczy, jak druga kartka podnosi się i opada na poprzednią, jakby ją ktoś palcem przewrócił. Fotel mój był pusty, wydawał się pusty, zrozumiałem jednak, że on tam był, on, usadowiony na mojem miejscu, i czytał. Jednym wściekłym skokiem buntującego się zwierzęcia, które rzuca się, aby rozedrzeć pogromcę, przebyłem pokój, chcąc go schwytać, zdusić, zabić!... Lecz fotel, zanim go zdążyłem dosięgnąć, przewrócił się, jakby z niego ktoś przedemną uciekał... stół zachwiał się, lampa zgasła, a oba skrzydła okna zamknęły się, jak gdyby przydybany na gorącym uczynku złoczyńca rzucił się w mrok, zatrzasnąwszy za sobą oburącz kwatery.

A więc uciek!... Bał się... bał się mnie!... On!...

Lecz w takim razie... w takim razie... jutro... albo pojutrze... lub któregośkolwiek dnia, dostanę go wreszcie w moje ręce i o ziemię roztrzaskam!... Czyliż nie zdarza się czasem, że psy zagryzą i rozszarpią swego pana?...

18 sierpnia — Spędziłem dzień na rozmyślaniu. Tak jest... będę go odtąd słuchał, poddawał się jego wpływowi, spełniał wszystko, co zechce, stanę się pokornym, uległym, nikkczemnym... On jest silniejszy... Ale przyjdzie godzina...

19 sierpnia — Wiem... wiem... wiem wszystko! Oto co wyczytałem w „Revue du monde Scientifique”:

„Dość ciekawa wiadomość doszła nas z Rio de Janeiro. Obłąd, epidemiczny obłąd, podobny do zaraźliwych szalów, jakie nawiedzały ludność Europy w średnich wiekach, szerzy się obecnie w prowincyi San-Paulo. Przerażeni mieszkańcy rzucają swe domy, opuszczają wsie, zostawiają na łasce losu uprawne pola, utrzymując, że są ścigani, opętani, o władnięci przez niewidzialne, choć dotykalne istoty, które na podobieństwo wampirów żywią się ich życiem w czasie ich snu, a nadto piją wodę i mleko, nie tykając, jak się zdaje, żadnych innych pokarmów.

Prof. Don Pedro Henriquez wyjechał w towarzystwie kilku uczonych lekarzy do prowincyi San-Paulo, aby studyować na miejscu pochodzenie i objawy tego dziwnego szalu a następnie przedstawić cesarzowi środki, jakie wydadzą się najodpowiedniejszymi w celu przywrócenia normalnego stanu umysłu obłąkanej ludności.”

Ach! przypominam, przypominam sobie teraz ów piękny brazylijski trzymasztowiec, co przepłynął pod memi oknami, zdążając w górę Sekwany ósmegomaja tego roku!... Wydał mi się taki śliczny, biały, wesoły... On płynął tym statkiem! przybywając stamtąd, z kraju, który jest ziemią ojczystą jego rasy!... on mnie również zobaczył!... Spostrzegłszy dom mój, również biały, wyskoczył z okrętu na brzeg. O! mój Boże!

Teraz już wiem, przejrzałem. Panowanie człowieka skończyło się.

Przyszedł On, Ten, przed którym lęk wyrażały pierwsze dreszcze strachu ludów w stanie dzieciństwa, Ten, którego egzorcyzmowali bojaźliwi księża, którego czarownicy wywoływali w ciemne noce, nie mogąc się jeszcze doczekać jego zjawienia, któremu przecucia tymczasowych panów świata nadawały wszelkie możliwe postacie, potworne czy też wdzięczne gnomów, duchów, geniuszów, wrózek, chochlików. Po grubych koncepcjach prymitywnej bojaźni ludzie bystrzejsi poczęli się zdobywać na jaśniejsze przecucia. Mesmer go odgadł, lekarze zaś odkryli lat temu już dziesięć drogą ścisłych doświadczeń naturę jego siły, zanim on sam jej użył. I poczęli igrać z tym orężem nowego władcy, z wpływem tajemniczej woli na dusze ludzkie, w bezwolę popadłe. Nazwali to magnetyzmem, hypnotyzmem, suggestyą... czy ja wiem?... Widziałem ich igrających jak nierozumne dzieciaki z tą straszną siłą!... Biada nam!... Biada człowiekowi!... On się zjawił na ziemi... ach... jakież jest jego imię?... mam uczucie, jakby mi je krzyczał w ucho... nie mogę jednak dosłyszeć... tak jest... krzyczy je... Wyteżam słuch.. nie mogę... Powtórz!!... Horla!... Usłyszałem... „Horla jest jego imię!” Na ziemi zjawił się Horla!

Ha!... sęp pożerał gołębie, wilk owce, lew zjadał spiczastorogie bawoły, człowiek zabijał lwy i bawoły strzałą, oszczepem, kulą — a Horla uczyni z nami, co my czyniliśmy

z koniem i bykiem: swoją własność, swego sługę i swe pożywienie — samą siłą swej woli. Biada nam!...

A przecie zwierzę buntuje się niekiedy i uśmierca tego, co je ujarzmił... To też i ja chcę... i mogę... Trzeba Go jednak wpierw poznać, dotknąć, zobaczyć! Uczeni twierdzą, że oko zwierząt nie jest takim jak nasze, że widzi ono od naszego odmiennie... Tak samo moje oko, tak samo i ja nie jestem w stanie dostrzedz nowego przybysza, który mnie dręczy.

Dlaczego?... Ach, przypominają mi się słowa mnicha z góry św. Michała: „Czyliż my widzimy jedną stutysięczną część tego, co jest?... Patrz pan, oto naprzykład wiatr, jedna z najpotężniejszych sił w przyrodzie: obala on ludzi, burzy gmachy, wyrывa z korzeniami drzewa, wzbija morze w olbrzymie góry wodne, kruszy skały, ciska ogromnymi statkami, jak piłką o podwodne rafy, a widziałeś go pan kiedy — ten wiatr, co jęczy, świszcze, zabija?... lub czy go pan jesteś w stanie zobaczyć?... A przecie on istnieje!”

I pomyślałem jeszcze: oko moje jest tak słabe, tak niedoskonałe, że nie dostrzega nawet ciał twardych, gdy mają przezroczystość szkła!... Jeżeli mi tafla zwierciadlana bez lustrzanej polewy zagrozi drogę, rozbiję się o nią jak ptak, usiłujący uciec z pokoju, rozbija głowę o szybę. Tysiące rzeczy mam i myli nasz wzrok, cóż więc dziwnego, że nie może on dostrzedz nowego ciała, przepuszczającego promienie świetlne.

Nowa istota!... i czemużby nie?... Musiała się ona pojawić z pewnością, bo i dlaczegóż my, ludzie, mielibyśmy tutaj być ostatnimi?... Nie widzimy jej, tak jak wszystkie inne, przed nami stworzone, ponieważ przyroda jej jest doskonalszą, ciało delikatniejszym, bardziej skończonem niżeli nasze, takie słabe, tak nieudolnie poczęte, przeładowane organami, nużącemi się ustawicznie, zawsze opornymi, jak zbyt skomplikowany mechanizm; niżeli nasze, wiodące byt sposobem roślinnym i zwierzęcym, karmiące się powietrzem, trawą i mięsem: machina zwierzęca, wystawiona na choroby, zniekształcenia, gnicie, dychwiczna, nieregularnie idąca, naiwna i cudaczna, dowcipnie zfuzerowana, utwór zarazem gruby i delikatny, szkic istoty, która mogłaby być inteligentną i cudowną.

Jest nas trochę, tak niewiele, tworów żyjących na tym świecie, od ostrygi do człowieka. Czemu ani jednej istoty więcej od chwili, zamykającej jeden z okresów, co odgradzają kolejne pojawianie się rozmaitych gatunków.

Dlaczego ani jednej ponadto? Czemu się nie pojawiają inne jeszcze drzewa o kwiatkach olbrzymich, świetnie zabarwionych, napełniających całe okolice swym zapachem?... Czemu nie ma innych jeszcze żywiołów prócz ognia, powietrza, ziemi i wody?... Jest ich cztery — czterech tylko rodziców-żywicieli istot! Co za ubóstwo! Czemu nie czterdziestu, czterystu, cztery tysiące?... Jakież to wszystko ubogie, liche, nędzne! skąpo odmierzone, sucho pomyslane, ciężko obrobione!... Słoń, hipopotam — ileż w nich wdzięku!... Wielbłąd co za wytworność!...

Ale — powiecie — motyl!... latający kwiat!... Mnie się jednak marzy taki, coby miał ogrom stu wszechświatów, skrzydła — których kształtu, krasy, barw i poruszeń wyrazić nawet nie potrafię... Widzę go przecie.. jak z gwiazdy na gwiazdę przelata, chłodząc je i napawając zapachem przez harmonijny i lekki powiew swego lotu!... A ludy, zamieszkujące przestwór, patrzają, jak płynię, w oczarowaniu i zachwycie!...

Cóż się więc ze mną dzieje?... To on, on, to Horla mnie opętał i budzi we mnie takie myśli! Jest we mnie, staje się moją duszą; zabije go!

19 sierpnia — Zabiję go! Udało mi się go wreszcie zobaczyć!... Usiadłszy wczoraj wieczorem przy stole zacząłem udawać, że piszę z wielką uwagą. Wiedziałem naprzód, że będzie krążył dokoła mnie, coraz bliżej, tak blisko, że mógłbym go może dotknąć, pochwytać?... A wówczas!... Wówczas dobędę z siebie wszystkich sił desperata, użyję ręk, kolan, piersi, czoła, zębów — i zduszę go, zgniotę, zagryzę, poszarpię.

Począłem czatować na niego wszystkimi moimi zmysłami w najwyższym napięciu.

Zapaliłem na kominku obie lampy i ośm świec, jak gdybym go wśród takiego blasku łatwiej mógł odkryć...

Przedemną moje łóżko, stare łóżko dębowe, z kolumnami, na prawo kominek, na lewo drzwi starannie zamknięte, które czas dłuższy pozostawiłem otworem, aby go przywabić;

za mną bardzo wysoka szafa z lustrem, przed którym codzień zrana goliłem się, ubierałem i miałem zwyczaj przeglądać się od stóp do głowy, ilem razy koło niego przechodził.

Owóż zacząłem udawać, że piszę, aby go zmylić, bo i on szpiegował mnie także; naraz uczułem, ale to uczułem z całą pewnością, że czyta mi przez ramię, że jest tuż przy mnie, że się ociera o moje udo.

Wówczas zerwałem się z wyciągniętymi rękoma i odwróciłem tak szybko, że o mało przy tem nie upadł. I cóż?... W pokoju było jasno jak w biały dzień — a ja się nie ujrzałem w zwierciadle!... Było puste, jasne, wgłębione, pełne światła!... Nie było w niem mego odbicia a stałem przecie nawprost niego!... Widziałem tuż przed sobą, w całej wielkości, tylko przezczystą tafłę szklaną. I zapatrzyłem się w nią oszalałemi oczyma, nie śmiąc postąpić kroku, nie śmiąc się poruszyć, czując wszakże, że on tu jest, lecz że mi się jeszcze wymknie tym razem, — on! którego nieuchwytne ciało zasłoniło w lustrze me odbicie.

W jakimże byłem strachu!... Po chwili zacząłem nagle widzieć samego siebie w głębi zwierciadła jak przez mgłę, jakby przez warstwę wody; wydało mi się, że ta woda przesuwająca się od lewej strony ku prawej, zwolna, przywracając tem samem z każdą sekundą mojemu odbiciu coraz to większą wyrazistość! Był to jak gdyby koniec zaćmienia. To, co mnie do tej chwili przesłaniało, zdawało się nie posiadać ściśle określonych zarysów, lecz pewien rodzaj półprzezroczystości, rozplywającej się nieznacznie.

Nareszcie mogłem ujrzeć siebie wyraźnie, jak codzień, w mojem lustrze.

Otóż widziałem go! Przerazenie nie opuszcza mnie od tej chwili czuję dotąd dreszcze.

20 sierpnia — Zabiłbym go — lecz jak? skoro nie mogę go osiągnąć rękoma?... Przez otrucie?... Zobaczy, jak będę truciznę mieszał z wodą... Pytanie zresztą, czy zabójcze dla nas trucizny będą tak samo oddziaływać na jego nieuchwytne ciało? Nie — bez żadnej wątpliwości. A więc?... A więc?...

21 sierpnia — Kazałem sobie sprowadzić z Rouen ślusarza, aby sporządził do mego pokoju żelazne okienice, jakie są w Paryżu na parterze niektórych domów prywatnych dla ochrony przed złodziejem. Zrobi mi również takie same drzwi. Zrobiłem z siebie w ten sposób tchórza, lecz mało mnie to obchodzi.

10 września — Rouen, hotel kontynentalny. Stało się... stało się... czy zginął jednak?... Jestem do głębi duszy wzburzony tem, na co patrzyły moje oczy.

Wczoraj więc, kiedy ślusarz umocował drzwi żelazne i okienice, pozostawiłem jedne i drugie otworem do samej północy, mimo, że się zaczęło oziębzać.

Naraz uczułem, że on jest w pokoju i radość, szalona radość przejęła mnie na wskrós. Powstawszy zwolna, zacząłem się przechadzać tam i nazad po pokoju; chodziłem dość długo, aby się nie domyślił niczego; następnie zdjąłem buciki i wdziałem pantofle, nie dbale; poczem zamknąłem żelazne okienice i powróciwszy najspokojniej w świecie do drzwi, zamknąłem je również na dwa spusty. Teraz powróciłem do okna i zamknąłem okienice dodatkowo na kłódkę, od której klucz schowałem do kieszeni.

Wtem odczułem, że zaczął krążyć wkoło mnie, że się przeląkł, że mi nakazuje otworzyć... Niewiele brakowało, abym mu uległ, nie uległem jednak, lecz przysunąwszy się plecami do samych drzwi, uchyliłem je akurat tyle, aby się przez nie raczką przemyknąć, ponieważ zaś drzwi są niskie, otarłem się czubem głowy o poprzeczną odrzwi. Pewien, że mi się wymknąć nie zdołał, zamknąłem go samego, samiuteńkiego!... Co za radość!... Miałem go nareszcie!... Następnie zbiegłem co żywo na dół, i wszystką naftę z dwóch lamp w salonie tuż pod moim pokojem wylałem na dywany, meble, posadzkę — podpaliłem! — i uciekłem, zamknąwszy drzwi wchodowe na dwa spusty.

Pobiegłem się ukryć na tyłach mego ogrodu, w wawrzynowym lasku. Jakże to długo trwało!... Jak długo!... Dokoła mrok, milczenie, nieruchomość. Ani jednego wietrzyka, ani jednej gwiazdki, tylko góry chmur, których nie byłem w stanie dojrzeć w ciemności, lecz które tak strasznie mi przygniatały ciężarem swoim duszę.

Patrzyłem na mój dom i czekałem. Jakże to długo trwało!... Zacząłem już przypuszczać, że ogień zgasł lub też że on go stłumił, On; gdy naraz jedno z okien na dole pękło pod parciem pożaru i płomień, potężny płomień czerwono-żółty, wydłużony, wiotki, pieszczotliwy, wspiął się po murze pod sam dach i przyłgął do niego jakby w pocałunku. Jasność pobiegła między drzewa, między gałęzie i liście, a za nią dreszcz — dreszcz

trwogi!.. Pobudziły się ptaki; pies zaczął wyc; myślałem, że świta! Niebawem wysadziło jeszcze dwa okna i cały parter mego domu zamienił się w jedno straszliwe ognisko. Wtem krzyk, krzyk straszny, przeraźliwy, rozdzierający, krzyk kobiety, przeszył ciemność i dwa okna w dachu rozwarły się!... Zapomniałem o moich służących!... Ujrzałem ich obłąkane twarze, ich wyciągnięte ramiona!...

Natenczas — oszalały z przerażenia — puściłem się pędem ku wiosce, krzycząc:

— Na pomoc! Ratujcie! Pali się!.. — a napotkawszy ludzi, którzy spieszyli już w stronę ognia, wróciłem z nimi, aby doglądać ratunku.

Dom był już obecnie jak jeden olbrzymi i wspaniały stos gorejący, potworny stos, oświetlający swym blaskiem całą ziemię, stos, na którym płonęli ludzie i na którym on także gorzał, On, On! mój jeniec, nowa istność, nowy mocz, Horla!...

Naraz dach cały zapadł się w głąb murów i wulkan płomieni i iskier trysnął pod sam niebieski strop. Przez wszystkie okna, ukazujące wnętrze, pełne żaru, widać było jeden odmet płomieni a ja myślałem na ten widok, że on tam jest, w tem piekle — martwy!...

... Martwy?... Rzecz możliwa... Lecz ciało jego... czy jego ciało, przez które światło przenika, nie może być również niezniszczalnym wobec wpływów, uśmiercających nasze?!...

Jeżeli więc nie zginął?... Boć może jeden tylko czas potrafi unicestwić Istotę Niewidzialną i Straszliwą... Po cóżby jej to ciało przejrzyste, nieuchwytnie, to ciało Ducha, gdyby się, pomimo niego, obawiać miała — i ona także — cierpieć, ran, kalectw, przedwczesnej zagłady?

Przedwczesnej zagłady?... wszak wszystkie człowiecze obawy w niej mają swe źródło! Po człowieku — Horla! — Po tym, któremu śmierć groziła codziennie, o każdej godzinie, minucie, od tysiąca przypadków, — przyszedł ten, który umrze dopiero w dniu oznaczonym, o oznaczonej godzinie, minucie, gdy dojdzie do granic swego istnienia.

Nie, nie!... Bez żadnej wątpliwości, bez żadnej a żadnej wątpliwości — nie zginął!... W takim razie jednak... w takim razie ja... ja sam muszę odebrać sobie życie!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/horla/>

Tekst opracowany na podstawie: Guy de Maupassant, *Horla*. Nowela, tłum. Z. Niedźwiecki, Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla, Lwów-Złoczów 1923.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0521-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).